

## M A T E R I A Ł Y

### Z teki korespondentów terenowych

Lud, t. 64, 1980

STEFAN SIDORUK

#### HERODY \*

Kuźnia nasza stała na niewielkiej stromiznie prawie w środku wsi, a nasz ojciec, będąc wiejskim kowalem, kuł z czeladnikiem okolicznym chłopom wozy żelazniaki, nabijał do drewnianych bron śpiczaste zęby, rychtował pługi, motyki i inny gospodarski sprzęt. Zaś zimą podkuwał wielkie, mocne sanie do wywózki budulca z lasu, albo dłubał mozolnie przy czyichś wyjazdowych sankach, ozdabiając je w różne żelazne wywijasy i upiększenia, pociągnięte na gorąco do połysku czarną smołą. Niekiedy, jeśli to było lato, szli z czeladnikiem i innymi chłopakami do pobliskiego Bugu, by po skończonej robocie nieco się opłukać. Bywało że chłopaki ciągnęli ze sobą nowy, dopiero co okuty wóz, który z wielką uciechą przeprawiali przez bród na drugą stronę rzeki dla oczekującego właściciela. Uciechy było przy tym co niemiara, jedynie właściciel wozu trzymając konia za uzdę trwożnie spoglądał, czy chłopaki przypadkiem naprawdę go nie utopia w głębinie.

Zimą, że to roboty było nieco mniej w gospodarstwie, każdy kto ino szedł drogą przez wieś, wstępował do kuźni to papierosa wypalić, to ręce nad ogniem ogrzać, czasem to ot tak, bodajby gorące żelazo młotem stuknąć lub miechem nieco podymać, a pogadać o tym i owym. Był w naszej wsi jeden taki osilek, który nieraz próbował traczom spory kloc na kozły włożyć lub dwuletniego podjezdka za ogon złapawszy utrzymać. Otóż ów moczarsz często przychodził do kuźni i jeśli tylko

---

\* Napisał Stefan Sidoruk, rolnik, lat 59, wieś Stawki n/Bugiem, woj. Chełm.

chłopaki zdołali go podmówić, szedł z kimś o zakład, że dźwignie stukilowe kowadło na wysokość głowy lub dźwignie na grzbiecie masywny wóz. Śmiechu było przy tym, że choć ty za brzuch się trzymaj, jak ów osilek wlaził na czworakach pod nowo okuty parokonny wóz i z pół godziny wiercił tyłkiem to w jedną, to w drugą stronę, zanim udało mu się z wozem na grzbiecie nieco się wyprostować. Czasem ów „Pelo”, jak go po wsiowemu wszyscy nazywali, bywał w nieco gorszej kondycji i nie chciał próbować swej siły. Ograniczał się wówczas do lepszych pokazów i ćwiczeń, mianowicie do trąbienia. Trąbienie to polegało na zadęciu w pustą buksę od wozu tak głośno, aby na drugim końcu wsi słycać było. Więc trąbili, a raczej dęli chłopaki w buksy, których w kuźni nie brakowało, aż się konie płoszyły przy studni galopując po wsi z resztką kantara na pysku. Nowo okute przez ojca samie nigdy nie stały długo przed kuźnią. Jeśli był tylko siaki taki śnieg, ciągnęły je wyrostki i dorostki, czyli kawalerka, nad pobliską stromizną i zjeżdżali całą kupą, niekiedy po dziesięciu a może i po piętnastu na raz, aż hen, na błonie, czasem na trzeszczący lód o płytkiej wodzie, która napelniała im buty powyżej cholew, ale kto by tam na to zważał. Dopiero gdy ściemniało, a dymy z kominów zaczęły pachnieć gorącą kolacją, zmęczeni lecz weseli podciągali samie pod kuźnię i rozchodzili się po swoich domostwach.

Czeladnik Michał, który uczył się u ojca kowalstwa, pochodził z sąsiedniej wsi Żuków. Mieszkał zatem i jadał u nas. Jakoż zaraz po zapustach ów Michał zaczął ugadywać naszego ojca, aby zezwolił chłopakom, których on sobie dobierze, wyrzutować na święta w naszym domu tak zwane „Herody”. Matka z początku to nawet i słucać o tym nie chciała, że to niby diabła, czy nawet samego lucyfera będą odstawiać. Dopiero jak jej zaczął dokładnie klarować co i jak, że oprócz diabła będzie również i anioł, i trzej królowie, i Maryja, i Józef, i Boża Dziecina, jakoś tam się zgodziła i więcej sprzeciwu nie stawiała. Ojciec też z początku twierdził, że nic z tego nie będzie, ale jak chłopaki przez kilka wieczorów przysiedli sobie porządnie fałdów u kapot, jak zaczęli spisywać takie sobie różne gadania i historyje, co jeno poniektórzy starszy ludzie skądś jeszcze je słyszeli i pamiętali, jak zaczęli podśpiewywać ni to jakieś kolędy, ni to insze bajania, sam zapalił się do całego przedsięwzięcia i począł chłopakom to i owo doradzać a pomagać. Poszły więc słuchy po wsi, że w kowalowej izbie parobczaki żywą szopkę na gody rycują. Zaczęło się dobieranie osób: anioła, Żyda, Żydówki, którą jakoś żadna z dziewczyn nie chciała zostać, a którą w końcu musiał odegrać Stasiek Szepela. Natomiast na diabła każdy z chłopaków aż się rwał i prawie każdy się nadawał. Mieli także być pasterze i Józef z Maryją, marszałkowie, Turek z krzywą szablą i ułan na siwym koniu. Zaczęło się

klejenie koron dla Heroda i trzech króli, a po tygodniu czy po dwóch już odbywała się jedna po drugiej próba, na której Żyd czytał biblię od początku świata i czochrał się o futrynę drzwi. Śmierć ostrzyła drewnianą kosę szmulając nią po spasionym karku Heroda. Żydówka zbiedzo- nym głosem targowała u naszej matki jajka i cebulę na szabas dla Ży- dziąt. Ułan pisał na pięknym koniu, zaś diabeł, jakby wlaźł w niego sam Belzebub, skakał po izbie brzęcząc łańcuchami i wałąc widłami o sufit, aż się prochy ludziom za kołnierz sypały, wykrzykiwał piekielnym głosem: „Moja dusza, twoje ciało, bo mi się tak spodobało” i wszyscy orzekali, że właśnie tak powinno być, a diabeł starał się jeszcze bardziej szaleć. Przed samymi świętymi spadł w nocy niewielki deszcz, a już po południu nagle się wyjaśniło i złapał spory mróz. Wszystkie drogi i ścieżki pokryły się skorupą lodową, śliską, nie do utrzymania się na nogach. Gospodarze chcąc przynieść wody ze studni przywiązywali do nóg tak zwane żabki, czyli raki, a i to poniektóry zjeżdżał po pochyłości na wywróconych wia- drach, zaś o wypędzeniu żywiny do koryta to i mowy być nie mogło. Je- dynie herodniki najmniej się tym martwili: E tam, wielka rzecz się wy- kopyrtnąć.

Jakoż w samą wigilię, nie czekając aż w domu podadzą wieczerzę z tradycyjną kutią z miodem i gryczany kisiel okraszony suto lnianym ole- jem, każdy z chłopaków chwycił po kryjomu czapkę a w garść kilka ra- cuchów i pędził na zbiorę do herodników, którzy szykowali się już do wyjścia na wieś. Psiaki, które ich chciały z początku obszczekiwać, przera- żone rwały łańcuchy i uciekały gdzieś hen, aż na pozastodola, skąd tylko od czasu do czasu nieśmiałym szczeknięciem dawały o sobie znać. A oni szli od chaty do chaty nie omiając niczyjej i nie bardzo dbając o poz- wolenie wejścia. Nie wybierając drogi przeskakiwali przez płoty i prze- chodzili przez przełazy, przecinali okólniki i wybiegi, prac przez sady i ogrody i hurmą wślączali się do izby. Hej kołęda, kołęda!

Zza byle jak zaimprovizowanej kurtyny wychodzili pasterze, biejąc do stajenki. Potem trzej królowie dążyli do szopy betlejemskiej, by zło- żyć swe dary. Herod wydawał rozkaz wycięcia wszystkich dziełek. Potem chuda śmierć „tłukła się po górach, po lasach, po różnych wykretasach, aż króla Heroda w tym domu zdybała”. Żydówka molestowała gospody- nię o parę jajek na szebes dla Żydziąt, a diabeł poza kurtyną starał się ukradkiem nadziać na widły suszące się nad piecem, pachnące czosnkiem kielbasy.

Weselmy się, radujmy się,  
pożądany narodził się, hej-nam hej!

Anieli się w niebie cieszą,  
pasterze do szopy śpieszą, hej-nam hej!

Na to Boże Narodzenie  
 wesel się każde stworzenie, hej-nam hej!

I my dzisiaj się weselmy,  
 wypijmy po szklance pełnej, hej-nam hej!

Niosło się wesołe śpiewanie, a kolorowa gwiazda, którą zagarnęli po drodze razem z kołędnikami, siała po izbie różnokolorowe blaski wyczerowując iście betlejemski nastrój. Sypało się grosiwo, gdyż mało w której chacie gospodarz nie sięgnął do wypchanej kalety. Poniektórzy to i okowitą częstowali, a szczodre gospodynie wtykały im do rąk to kawał słodkiego placcka, to struclę z makiem, lub chociażby tych racuchów pachnących olejem. Odchodząc życzyli gospodarzom:

Oby wam się darzyło i mnożyło w komorze i oborze,  
 we woreczku, na kołeczku, w każdym kątku po dzieciątku,  
 a na piecu troje na to wienszowanie moje.

Ażebyście tego roku jeszcze lepiej mieli,  
 żebyście co posiali, to w spokoju zżęli.  
 Żeby wasze dzieci były jak kluseczki  
 i jako gołąbki spokojne żoneczki.

Ażebyście jak pączki w maśle się pławili,  
 nie się nie kłócili, dobrze jedli, pili.

Tego wam życzymy, na to przychodzimy  
 i kolędę swoją dla was przynosimy.

Po drodze na skutek zdradzieckiej ślizgawicy ten i ów rypnął zadkiem o ziemię. Czasem któryś z kołędników haniebnie poniżał swój majestat, aż mu korona z głowy spadała, a wierni rycerze musieli go podnosić pod rękę. Tylko diabeł z kostuchą trzymali swój fason, biorąc bowiem widły czy kosisko między nogi zjeżdżali po najbardziej obledzonej pochyłości i wstępując do następnej chałupy, zapowiadali odwiedziny herodników. Nie ominęli nawet księżej plebanii, skąd ich gospodyni miotłą chciała przegonić, dopiero sam proboszcz słysząc jakąś awanturę zaprosił ich do kuchni. Odwiedzili nawet jaśnie pana dziedzica, któremu wystraszyli małą Brygidkę i wążłego Jacusia. Coś im tam na odchodne pewna chuda pani szwargotała po niemiecku czy francusku, o coś się pytała, z czego nie mogli nic pojąć. Zapamiętali tylko to jakieś powtarzane przez nią pewno niemieckie nazwisko herodowego Żyda — „folklor, folklor”.

Obładowani różnymi przysmakami wracali z końca wsi do naszej chaty, aby się podzielić uzbieranym grosiwem i wiktuałami oraz wynagrodzić kołędników, którzy im towarzyszyli. Weseli i pełni wrażeń rozchodzili się do swoich domów, w których czekała na nich — choć już wy-

stygła — wigilijna kutia i śledzie obmaczane w mące, a smażona kapusta z grzybami i duszona drobna ryba, a nade wszystko wielkie niecki gryczanego kisielu.

Hej! Kolęda, kolęda, bodajby zawsze była.

Szczęśliwe to domostwo, gdzie gwiazdka zaświeciła.

### WIELKANOC\*

Zbliżały się święta Wielkanocne. Jakaś radość tajemna przenikała ludzkie serca i myśli. Szła z chaty do chaty wraz z tymi ciepłszymi, słonecznymi, pachnącymi wiosną dniami. Poniektóry z gospodarzy, nie mając — jak to na przedwiośniu — pilniejszej roboty w obejściu, zachodził do chlewika, gdzie stał karmiony wieprzak i obmacywał go ze znawstwem ze wszystkich stron, czy już dość mu sadła pod skórą przyrosło na to świąteczne świnobicie. Zaś gospodynie baczniej poczęły śledzić kury, gdzie się niosą i odkładać po tych kilka jaj na kraszanki dla dzieciaków, a i dla dorosłych. A dziewczuchy, jak to dziewczuchy — biegały na bosaka to do tej, tamta do innej. Chichotały po kątach jak te głupie. A gdy i to się im sprzykrzyło, brały się do ocierania łupin z cebuli lub zbierania pokazującego się ziela kaczeńca, szylkując to wszystko do kraszenia.

Przy zapłociach, gdzie słońce silniej nagrzewało ziemię, można było znaleźć zielonkawę dzioby wyłaniającego się chrzanzu, za którym ze szpadkami uganiały poniektóre dzieciiska. No bo co też to by było za święto bez chrzanzu po tylim głodowaniu w poście? Toteż, gdy nadszedł tydzień wielkanocny, gdy zaczęło się wędzenie, pieczenie i smażenie różnych różności, kiedy przyszła Wielka Sobota, a ksiądz pokropił święconkę, to choć ty z domu uciekaj od tych zapachów, od smaków, które dopiero nazajutrz można było spróbować.

Hej! Już niedaleczko czerwone jajeczko.

Hej! Rano raniusieńko czerwone jajeczko.

Paweł Teterak stanął w kościele niedaleko proga, bo to po rezurekcji i wyjść będzie łatwiej, i do domu prędzej zdąży. Zawsze ono prawda czy nieprawda, ale jaką mówią, ten pierwszy z każdą robotą w gospodarstwie się upora, co pierwszy w Wielkanoc z kościoła wróci. To i dziś wolał tego się trzymać, a po drugie, miał w kieszeniach marynarki dwie pary pisanek, które chciał oddać po wyjściu tym łobuzom chrześniakom (tylko czy ich dojrzy w tłumie?), a oddać przecież trzeba, bo niby taki zwyczaj. Rozglądał się po ludziach nucąc cichym basem: „Łukasz z Kleofasem, oba jednym czasem, szli do miasta Emaus”. Tylko czy oni — płatała mu się

\* Napisał Stefan Sidoruk, rolnik lat 59, wieś Stawki n/Bugiem, woj. Chełm.

myśl — za śpiewaniem szli do tego miasta ot tak sobie, czy może na targ, a może to byli kupcy i szli za kupnem koni — medytował dalej po gospodarstwu. Alleluja — kończył każdą zwrotkę razem z innymi. Przy wychodzeniu w oka mgnieniu zaczął tworzyć się zator, bo takich jak on, skorych do wyjścia było wielu. Wsadził więc obie ręce do kieszeni, starając się palcami poprzegradzać nieszczęsne pisanki i jał posuwać się powoli ku drzwiom, ale już po paru krokach poczuł, że go ciżba niemal niesie przez całą kościelną sień, a w jednej kieszeni nowej marynarki robi się klejąca, lepka ciecz. Za parkanem przyśpieszył kroku i dopiero mijając zabudowania Klimka wyrzucił niemiłą zawartość z kieszeni i otarł ręce o starą trawę. Do domu prawdopodobnie doszedł pierwszy od innych.

W pierwszy dzień świąt, wedle zwyczaju, to nie tylko że nie wypadało wychodzić do sąsiadów czy ot tak gdzieś, ale człowiek był taki ociężały od tego jadła i napitku, że i ruszyć się po prostu nie chciało. Ot tylko byś się wylegiwał i popijał co nieco. Za to na drugi dzień już z samego rana ruch w każdym domu panował niemały. Farbowano jaja kurze, gęsie, kacze, a kto miał, to i od „afrykanek” czy też „komperliczek”. Najpiękniejsze to chyba wychodziły te czerwone z łupin cebulowych, z plewy owsianej były żółte-nieco zielonkawe, a gotowane w ziele kaczonca miały kolor trawiasty, mdły. Pisanki trzeba było umieć zrobić, toteż nie każda brała się do tej roboty. Za to jak już która wypisała, to choć ty na wystawę pošlij. Takie były piękne, jak żywe. Paweł ostrożnie wyjmował jeszcze gorące z sagana i odkładał w wodę, oddzielnie te, które mu się widziały mocniejsze do kumkania, a te słabsze na zjedzenie. Potem, gdy już ostygły, brał po jednym i leciutko a drobnie stukał o swój jedyny przedni ząb, który mu pozostał i sprawdzał które były mocne, które najmocniejsze, a które do niczego. A takie już w tym miał wyczucie, że rzadko lub prawie wcale się nie mylił. Więc kurzych ładował pół przetaka, w kapelusz brał trochę gęsich i kilka kaczyc i wychodził na wieś, gdzie już czekałi inni amatorzy kumkania: starsi, młodszy i oczywiście dzieci, pełno dzieci.

Kumkanie polegało na tym, że chętni partnerzy swoim najmocniejszym jajkiem uderzali lekko w jajko przeciwnika i czyje jajko zostało zbite z obu końców, było przegrane i przechodziło na własność zwycięzcy, nadając się już oczywiście tylko do zjedzenia. Czasami partnerzy wymieniali między sobą swe jaja i dopiero po takiej wymianie zaczynały się kumać. Niekiedy pozwalali swe jajo pomocować, oczywiście na zębach przeciwnika i wtedy ryzyk-fizyk. Ktoś odnosił zwycięstwo, a inny porażkę. Był jeszcze inny sposób gry, może tylko bardziej lubiany przez dzieci, mianowicie, wybiarało się niewielki stołek, pochylenie gruntu i po prostu puszczało się z niego jajko, które tocząc się w końcu się zatrzy-

mywało. Z kolei robił to samo przeciwnik i tak na zmianę, aż czyjeś toczące się stuknęło o to na dole. Wygrywało to, które stuknęło.

Przy kumkaniu należało być ostrożnym, przebiegłym i niekiedy z twarzy i miny przeciwnika wyczytać, jaką „siłą” staje do pojedynku. Bywali nieraz i tacy spece, którzy tak precyzyjnie przez dziurkę przekłutą igłą w surowym jajku potrafili je spreparować, zalać smołą lub woskiem, że i sam diabeł by się na tym nie poznał. No i było mocne, niezwyciężone. Niektórzy mieli jajka wytoczone z drewna, rychtyk jak kurze, pięknie farbowane, które niekiedy tylko po ciężarze (jeżeli chciało ci dać do rąk) można było rozpoznać. Zacięta walka trwała cały dzień na każdym placyku, prawie przed każdym domem. Wszędzie się widziało umazane żółtkiem usta dzieci, na drodze, na ścieżkach — skorupy, różnokolorowe skorupy jaj.

Paweł otoczony tłumem kibiców, wśród których także dochodziło do lokalnych pertraktacji i kumania, przemieszczał się powoli z jednego końca wsi na drugi, poszukując nowych partnerów i świeżych emocji. Sito napelniało się po sam czub. Wygrywał.

Trzeci dzień — to już niby święto i nie święto, a w Stawkach i okolicznych wsiach właśnie w tym dniu wypadało oblewanie. Gdzieś tam ponoć nazywa się to inaczej, śmigus czy dyngus, lecz u nas tak wsiowo, zwyczajnie oblewanie. A i było to oblewanie takie wsiowe, solidne, z wiaderka. Bywało, że w każdej wsi znalazła się jakaś harda dziewczoja, która na chłopaków patrzyła z góry. No to w oblewanie odwdzięczyli się jej za to, że wyglądała jak zmoczona kura. A jeśli taka „bona” próbowała się odgryzać i pyskować, to chłopaki potrafili zaprowadzić ją do płynącego tuż pod wsią Bugu i nie tylko wykapać po samą szyję, ale i wypławić w tą i ową stronę. Dostawało się i chłopakom przy oblewaniu, dostawało. Niekiedy zagonione na strych przez chłopaków dziewczyny wciągały za sobą drabinę i stamtąd lały chłopaków na łeb najpierw wodę, a gdy tej nie starczyło w domu, wszystko co było mokre. Pomagały im w tym nawet matki, ciotki i w ogóle wszelka pleć niewieścia, dostarczając na strych sobie tylko znanym przemytem serwatkę, maślankę, kwas chlebowy, a nawet odwar z łupin cebulowych, który się znalazł na podorędziu.

Nikt potem na nikogo się nie gniewał, nikt nie stroił fochów. Fanaberie i dąsy zastępował szczerzy i zdrowy śmiech oraz uciecha.

Przewodnia niedziela była jak gdyby zakończeniem wesoło spędzonych świąt. Jeszcze spóźnieni chrzestni oddawali chrześniakom „wołoczebnę”, to znaczy parę czy ileś tam jaj. Jeszcze kumy omawiały skutki ostatniego oblewania. A ksiądz ponoć w tę niedzielę przyjmował na zapowiedzi właśnie od tych par, które na siebie najwięcej w oblewanie wylały wody.